

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela 17 czerwca 1951 r.

Nr 21

Niewinność i pokuta

Dzisiaj w powojennych czasach zaprowadzenie ładu na świecie coraz jaśniej wykazuje się, że w zagadnieniu religijnym czystość i pokuta stają się niczym nie zastąpionymi źródłami moralnej siły człowieka. Są synonimami wewnętrznego porządku. Czujemy to zwłaszcza kiedy chcemy naprawić coś trwałego dla swej przyszłości. Z pojęciem zaś przyszłości wiąże się dwie rzeczy: młodzież — przyszłość doczesna i nasza śmierć — przyszłość poza grobowa. Dwa słupy ogniste, dwie wielkości, które tylko na pozór się odpychają, dwie piękności, które wznoszą życie ku niebu.

Niewinność i pokuta — innocentia et poenitentia. O cnoty te prosi Kościół w modlitwach swoich w uroczystości św. Alojzego: „Rozdawco darów niebieskich, Boże, który w anielskim młodzieńcu Alojzym połączyłeś przedziwną niewinność życia z pokutą, daj, za jego wstawiennictwem, aby, którzyśmy z niewinności jego brali wzoru, przynajmniej pokutę jego naśladowali.“ Ale też nie mniej piękną i głęboką myśl wyraża Kościół, Matka nasza, w modlitwie o św. Stanisława: „Boże, któryś wśród rozlicznych cudów mądrości Twojej, także w młodocianym wieku łaskę dojrzałej świętości dać raczył; spraw prosimy Cię byśmy za przykładem św. Stanisława zbawienie z czasu życia korzystali i skwapliwie do wiecznego zdążali pokoju“.

Niewinność i pokuta to, jak się wyraża ks. biskup T. Toth, granitowe podłoża bohaterskiego życia obu świętych młodzieńców. Nie jednak wyłącznie. Bo święci ci dają nam przykłady i wielu innych cnót, które zdaje się, że w czasach dzisiejszych nie są tak potrzebne wśród młodzieży jak duch niewinności i pokuty, zepchnięty często na ostatni plan i niedoceniany. Święty Alojzy i św. Stanisław Kostka są ponadto wzorami apostołstwa, bo z radością nauczali wiary swoich współtowarzyszy zabaw; wzorami miłości bliźniego, bo jeden swojej śmiertelnej choroby nabawił się przy pielęgnowaniu zadumionych a drugi wszystko rozdał biednym; są wzorami prawdziwego społecznego myślenia, bo mimo wyniosłego swojego pochodzenia do każdego służy i pacholka odnosili się grzecznie, uprzejmie i usłużnie. Nie chciano by im służyć, ale sami nieśli pomoc drugim. Można od tych młodzieńców uczyć się płonącego żaru miłości bliźniego i radosnej pracy dla życia nadprzyrodzonego.

Najbardziej jednak atrakcyjnym i zadziwiającym sukcesem w życiu tych dwóch młodzieńców jest czystość. Zalew budzącego się życia zmysłowego grozi zerwaniem łańcuchów i niszczylielską siłą. Tymczasem ci dwaj młodzieńcy niezmordowaną pracą, karnym, surowym panowaniem nad sobą, wśród tysięcy ponętnych pokus potrafili zachować śnieżną biel swojej duszy. Każde pokolenie młodych ludzi musi walczyć o tę cnotę. I dzisiejszej młodzieży trud ten nie minie. Zachować niewinność trzeba za wszelką cenę wśród największych ofiar i wysiłków. Nie tylko o tym ma wiedzieć młodzież, ale na pierwszym miejscu rodzice, którzy są odpowiedzialni za życie obyczaje i postępowanie swoich dzieci. Nie możemy schować młodzieży przed pokusami, ale możemy nauczyć ją odporności, panowania nad sobą, idealizmu. Świętość jest największą sprawnością życiową, a grzech każdy niezdarnością i kalectwem, mierzotą i podłością, tępotą i nieuctwem. Nowoczesna psychologia i współczesna pedagogika katolicka udawadniają nam, że najskuteczniejszym sposobem w zachowaniu czystości duszy jest wzmocnienie woli przez rozwijanie harmonijne wszystkich cnót i doprowadzenie do takiego stanu by jak najmniejszym kosztem walczyć, zdobyć opanowanie siebie. Dzięki właśnie takiej postawie ci dwaj młodzieńcy mieli bystry rozum, dojrzały sąd, pilne zdobywanie nauk, dobre świadectwa i sumienne spełnianie powierzonych trudnych zadań. Młodzież prawdopodobnie tak łatwo nie dozna tej radości jaką sprawiał np. św. Alojzy tym, którzy z nim się stykali. W 14 roku życia prowadził publiczną teologiczną dysputę w Alkala. Wszyscy podziwiali jego bystrą znajomość rzeczy. W roku 1583 dla tych właśnie zalet piętnastoletni Alojzy powołany został na wyprawę portugalskiej Filipa II. Oryginał tej mowy zachował się do dziś dnia. Młody mówca potrafił



MATKO DOBREJ RADY

wyglądać ją klasyczną łaciną z wytrawną znajomością retoryki i bez pochlebstwa, wówczas tak modnych.

Te i tym podobne szczegóły powinny też oczyścić pojęcie naszej młodzieży o świętości, która ciągle ją łączy z bladeścią miny i z niezdarstwem życiowym. Czyż dzisiaj nie pokutuje jeszcze przekonanie wynikające z nieznaności rzeczy, że każdy uczony to człowiek niewierzący. I dlatego też synonimem cnót społecznych i obywatelskich jest doskonała harmonizacja fizycznych i moralnych, przyrodzonych i nadprzyrodzonych wartości człowieka. Miłość Boga i życie nadprzyrodzone, które w pojęciu katolickim jest tak cenne, i nie dające się przez nic zastąpić, nie stoją zapórą interesowaniu się najnowocześniejszymi zagadnieniami naukowymi, karierze życiowej, tytułom i stopniom uniwersyteckim, ani też uprzejmemu, milemu i grzecznemu obejściu.

Dlatego też kto raz poznał wyżyny doskonałego chrześcijańskiego życia, staje się stu procentowym człowiekiem, człowiekiem miłym, wychowanym, kulturalnym.

Drugi rys, na który należy zwrócić uwagę w życiu św. Ałojzego i św. Stanisława Kostki — to pokuta. I tu musimy sprostować nasze pojęcia, czy zapamiętanie. Pokuta nie jest niszczeniem sił, tamowaniem zapалу, przytłumianiem radości życia, ale potęgowaniem twórczych energii człowieka. Młody człowiek musi wiedzieć, że solidarność chrześcijańska i wniknięcie w ducha Chrystusowego to uznanie powagi starszych, okiełznanie przesady w dochodzeniu praw jednostki i stawianie sobie wymagań. Święci ci młodzieńcy uczą jak należy być posłusznym Bogu, Kościołowi i przelożonym ustanowionym przez Stwórcę, jak należy w ryzach trzymać swoje instynkty, by za cenę kar na siebie dobrowolnie nałożonych umieć cel swój osiągnąć. I patrząc właśnie z tego punktu widzenia, na życie i świętych młodzieńców nie tyle rodzą pokutę należałoby brać pod uwagę, ale podziwiać w jaki sposób kipiącą energią młodości umieli pchnąć na tory wiedzącej przez doskonałość życia doczesnego w życie nadprzyrodzone.

Według nauki katolickiej, Kościół jest mistycznym Ciałem Chrystusa Pana i tworzy organiczną jedność. Święty więc nie tylko siebie uświęca, ale czyni wielką przysługę i innym członkom Kościoła. Jeśli cni mogli święci i święte to dlaczego ja bym nie mógł. Przykład świętych Ałojzego i Stanisława jest pociągającym szczytem dla tej młodzieży, która już w latach szkolnych zdradza kult pieniądza, i przeraża epidemicznym uganianiem się za rozkoszami ciała. Z radością jednak stwierdzamy fakt, że wiele młodzieży obojga płci gromadnie garnie się do Chrystusa pragnąc nasycić duszę chrześcijańskimi naukami.

Młodzież nasza chce też aktywnie stanąć po stronie walki o pokój, chce wziąć całkowity udział w odnowieniu społeczeństwa i wie, że wielkim tutaj czynnikiem jest praca. Dla katolickiej młodzieży problem ten jednak nie wyczerpuje zagadnienia. Tak długo nie możemy pomóc bliźnim, ani godnie reprezentować katolicyzmu, jak długo nie przyzodobiśmy własnej duszy pięknem wewnętrznym życia religijnego.

Żyć! Żyć! Młodzież chce żyć! ale żyć to znaczy wieść szlachetne życie, postępować swoim nikomu nie zasępiać czoła. Żyć to znaczy nieugięta mieć wolę, panować nad sobą i pracować.

I musimy powiedzieć, że w realizacji tych pięknych haseł nie tak nie pomoże, jak cnota niewinności i pokuty.

K. J.

Podwójne oblicze Kościoła

Kościół jest Ciałem Chrystusa, Ciałem Mistycznym; przymiotnik ten wyraża zarówno najwyższą tajemniczość tej jednej więzi ciała z osobą, jak i różnicę tego Ciała od naturalnego ciała Chrystusa. Różnicę tę należy ujmować jasno. Naturalne ciało otrzymał Chrystus od matki, w tym ciele żył i umarł na krzyżu. W tymże ciele naturalnym, choć uwielbionym, zmartwychwstał, wstąpił do nieba i siedzi po prawicy Ojca niebieskiego. To samo ciało przyjmujemy sakramentalnie w Eucharystii. Ciało Mistyczne, Kościół, można uważać jako dziedziczącego naturę ludzką jako całość, bo w Ciele Mistycznym działa Chrystus nadal wśród ludzi jak dawniej w swej naturze ludzkiej.

W ten sposób Kościół w swej najgłębszej rzeczywistości jest samym Chrystusem nadal żyjącym i działającym na ziemi. Kłopot w tym, że Kościół nie zawsze na to wygląda. Kościół jest w świecie, i czasem się czuje, że dużo świata jest w Kościele. Realna obecność Chrystusa w Kościele jest w pewnym sensie tak trudna do uwierzenia, jak obecność Chrystusa w Eucharystii. W jednym wypadku mówimy: to wygląda na chleb, w drugim: to nie podobne do Chrystusa. Oba zdania są poprawne, lecz żadne z nich nie przesądza rzeczywistości. To co wygląda na chleb jest w rzeczywistości ciałem Chrystusa; to co wygląda na zbyt ludzką społeczność jest w rzeczywistości Ciałem Chrystusa. Na tę drugą rozbieżność pozorów i rzeczywistości pewne światło pada z dalszego porównania między dwoma żywymi Chrystusami na ziemi, w ciele naturalnym i w Ciele Mistycznym. W każdym wypadku Bóg chciał przyjąć na siebie ciało ludzkie i w nim działać. W każdym wypadku Bóg jest wierny logice swego wyboru. Jego natura ludzka była rzeczywistą naturą ludzką, i przyjmując ją, przyjął właściwe jej ograniczenia. Z ciałem naturalnym łączą się pewne ograniczenia. Nie odrazu jest ono dojrzałe, zaczyna od bezradnego dzieciństwa. Tak było i z ciałem Chrystusa. Widząc Chrystusa w ramionach matki można było powiedzieć: to nie wygląda na Boga. Nie inaczej było, gdy Chrystus idąc za logiką swego wyboru krwawił w biczowaniu, upadał pod ciężarem krzyża, gdy umarł i był pochowany. W tych wszystkich momentach Chrystus nie wyglądał na Boga, lecz On był Bogiem.

Tak jak za ciałem materialnym idą ograniczenia, braki i słabości, tak idą one również za innym rodzajem ciała, za społecznością wolnych istot ludzkich. Znajdujemy tu nowy pierwiastek — możliwość grzechu. Lecz i tu Chrystus jest wierny logice swego wyboru: nie wywierał przymusu na swe ciało naturalne i nie wywiera go w Ciele Mistycznym. Każde idzie według praw swego bytu, tak, że często powierzchowność raczej przesłania niż odsłania Chrystusa. Chrystus nie dał swemu ciału naturalnemu jakiejś doskonałości, która by znosiła znaczenie Jego ofiary; i na członków Ciała Mistycznego nie przenosi jakiejś doskonałości automatycznej, która by pozbawiała znaczenia ich życie ziemskie. Lecz tak jak Jego ciało naturalne zostało uwielbione i braki jego znikły, tak i Ciało Mistyczne Chrystusa będzie kiedyś uwielbione, a członki jego bezgrzeszne.

Wynika stąd, że tak jak w Chrystusie odróżniamy naturę ludzką i boską, tak i w Kościele trzeba odróżniać pierwiastek ludzki i boski; pierwiastkiem boskim jest ta cała sfera, w której Chrystus gwarantuje wolność od wszelkiego braku, bo w sferze tej On w istocie działa; pierwiastek ludzki obejmuje tę sferę, w której Chrystus ludzkom pozostawia odpowiedzialność za to, co On oferuje, to znaczy abyśmy pozwolili

Mu w pełni działać, działać częściowo, albo wcale.

Powiedzieliśmy na wstępie tych rozważań o Kościele, że wizja świata chrześcijańskiego powinna być wytyczona przez dwie linie orientacyjne, które u swego kresu zlewają się w jedną i streszczają w sobie cały sens Kościoła. Są to: idea Ciała Mistycznego i idea Chrystusa Króla. „Duchowość katolicka, pisze kard. Suhard, oparta na idei Ciała Mistycznego, będzie zmierzała nieustannie do realizowania tej idei przez włączanie coraz nowych członków i zespalać ich w jedność życia Bożego. Myśl katolicka oparta o tę ideę, będzie otwarta dla wartości bardzo różnorodnych i tych także, gdzie błąd nie rzadko miesza się z prawdą. Zadanie trudne — trzeba będzie przede wszystkim zwalczyć tendencję niezmienne rozpowszechnione i niezmienne szkodliwe, jak: wyłączna troska o zysk i przyjemność, kult siły i t. p. Ale równocześnie nadać trzeba będzie perspektywę religijną wartościom czysto ludzkim, lecz autentycznym i dobrym jak: rozwój organizacji społecznych, tendencje do odnowienia i zreformowania świata przy pomocy koncepcji intelektualnych, przez postęp techniki, rozwój sztuki, coraz bardziej postępujący rozwój poczucia solidarności ogólnoludzkiej itp. Rozróżnienie to dokonywać się powinno wedle zasad dwojakich: rozrost Ciała Mistycznego oraz przestrzeganie katolickiego charakteru doktryny w sensie teoretycznym i łączności organicznej. Prowadzić to będzie do pogłębienia postawy miłości intelektualnej, ale zarazem nie wzruszonej wartości Kościoła, co z kolei będzie pociągało niezachwianą bezkompromisowność. (Kard. Suhard Rozkwit czy zmierzch Kościoła).

(Kard. Suhard

Rozkwit czy zmierzch Kościoła).

Złote myśli

Plama rzucona na sławę człowieka, jest zarazem tejże próbą. Podobnie jak to bywa z materią pierwszej sorty — albo plama zpełźnie, albo ...sława...

Kto sięga wyżej ponad zakres swych stosunków, a nie opuszczają go przy tym siły, jest tragicznym. Kto zaś sięga równie wysoko, a odpowiednich sił nie zdradza jest często komycznym i godnym pożałowania...

Co się dzieje według naszych tyteń, to zwykliśmy przypisywać naszej roztropności, a co przeciwnie, innym, lub biegowi losu...

Gdy popytamy rozmowę, którąś my mieli z jakąś znakomitą osobistością, to ta zwykle dwu albo więcej razy jest tak długa, jak była rzeczywistość...

Duch pojednania

Jan Gwalbert jechał w Wielki Piątek ciasnym wozem i spotkał tam mordercę swego brata. Zawrzało, zakotłowało się w jego duszy. Chwycił za miecz, aby pomścić śmierć brata. Winowajca upadł na kolana, na rany Chrystusa, na dzień Jego męki zaklinał, aby darował mu życie. Jan zawałał się, schował wyciągnięty miecz, a potem kazał mordercy powstać, podał mu dłoń i przebaczył. W najbliższym kościele po drodze ukląkł i modlił się: „Panie, uczyniłem, jak kazałeś. Przebaczyłem. Przebacz i Ty mnie.”

Ten przykład jest wspaniałą ilustracją ostatnich słów z urywka ewangelicznego dzisiejszej niedzieli. Niestety, przykro i smutno, że w życiu tak mało spotyka się tego ducha pojednania, przebaczenia i zgody. Często pokutuje w praktyce wcale nie chrześcijańska zasada: „Kto by okaleczył kogokolwiek z bliznich swoich, tak mu się stanie, jako uczynił. Złamanie za złamanie, oko za oko, ząb za ząb odda w odwecie. O jakie kalectwo przyprowadził, takie ponieść musi.”

W domach, po wioskach, miasteczkach i miastach, a nawet w rodzinach i między małżeństwami spotkać można anioła niezgody przybranego niejednokrotnie w płaszczy nienawiści. Są ludzie, którzy latami całymi przechodzą koło siebie, nie rozmawiają ze sobą, nie pozdrawiają się. Gniew, niezgoda, nienawiść zaczynają się zwykle od drobnostki. Chlapnął ktoś coś językiem, drugi przekreślił, coś tam dodał i już powód do długiego gniewu. Droga, wyorana miedza, nieporozumienie między małymi dziećmi, a nawet kury, które nie szanują granicy, płotu i cudzego pola zdolne są poróżnić sąsiadów na lata całe. Od słowa do słowa i zaczyna się zawziętość, gniew a nawet nienawiść a wraz z nią ciemność zalega wewnątrz człowieka. „Kto nienawidzi brata swego, w ciem-

nościach chodzi, a nie wie, dokąd idzie gdyż ciemności zaślepiły oczy jego” (1 J 2, 11). Ciemność może tak opłacać duszę, że gotowa nawet modlitwy błagalnej nadużywać, by prosić o karę dla swego przeciwnika. Kłamstwem są w takim stanie wewnętrzny słowa modlitwy Pańskiej wypowiedziane wargami bez zrozumienia: „I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!”

Duch chrześcijański daleki jest od niezgody, zawziętości i nienawiści. Duch chrześcijański jest duchem pojednania, przebaczenia i zgody. Aby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do Pisma świętego. Pan Jezus napomina: „Pogódź się z przeciwnikiem twoim rychło” (Mt 5, 25). Na zapytanie św. Piotra: „Panie! Gdy brat mój zgrzeszył przeciwko mnie, ilekroć mam odpuścić? Aż do siedmiu-

króć?” — Pan Jezus odpowiada: „Nie powiadam ci aż do siedmiukróć, ale aż do siedemdziesięciu siedmiukróć” (Mt 18, 21 m.). Uczniowie Pańscy, Jakub i Jan, rozgniewani na niegościnnych Samarytan rzekli: „Panie, chcesz, powiemy, żeby ogień zstąpił z nieba i spalił ich? A obróciwszy się, zgał ich, mówiąc: Nie wiecie, czy jego ducha jesteście. Syn człowieczy nie przyszedł gubić dusze, ale je zbawiać.” (Łk 9, 54). Św. Paweł pełen ducha chrześcijańskiego podkreśla w liście do Efezjan, aby słońce nie zachodziło nad gniewem ludzkim. Pierwszy papież św. Piotr przestrzega, aby nie odpłacać złem za złe, złorzeczeniem za złorzeczenie ale przeciwnie błogosławić. Zło bowiem można pokonać tylko dobrem. Dlatego to św. Paweł taką wskazówkę posyła Rzymianom: „Nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości, najmiłsi, ale dajcie miejsce gniewowi; napisane jest bowiem: „Mnie pomsta; ja oddam, mówi Pan.” Ale „jeśli by nieprzyjaciół twój był głodny, nakarm go; jeśli pragnie, napój go. Bo to czyniąc, węgle ogniste zgromadzisz na głowę jego.” Nie daj się zwyciężyć złemu, ale zwyciężaj złe w dobrym.” (Rz 12, 19 n.).

Pobudką takiego postępowania jest wielka miłość Boża. Powinien być w każdym z nas duch pojednania, przebaczenia i zgody. Powinniśmy mieć w pamięci słowa dzisiejszej Ewangelii św. i napomnienie św. Pawła: „Bądźcie łaskawi jedni względem drugich, miłosierni, odpuszczając jeden drugiemu, jako i Bóg w Chrystusie wam odpuścił.”

Ks. Musiel Fr.

EWANGELIA

NA PIĄTĄ NIEDZIELĘ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(św. Mateusz 5, 20—24)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim: Jeżeli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż uczonych w Zakonie i faryzeuszów, nie wnikniecie do królestwa niebieskiego. Słyszeliście, że powiedziane było starym: Nie zabijaj (Wyjśc. 20, 13), a kto by zabił, będzie winien sądu. A ja powiadam wam, że każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A kto by rzekł bratu swemu „raka”, będzie winien Rady, a kto by rzekł „głupcze”, będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy poniesiesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw go tam przed ołtarzem, a idź pojednać się pierwszy z bratem twoim. A potem przyjdiesz i złożysz dar twój.

LEKCJA

NA PIĄTĄ NIEDZIELĘ
PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(1 św. Piotra 3, 8—15)

Najmiłsi: Bądźcie wszyscy jednomyślni w modlitwie, współczujący, braci miłujący, miłosierni, skromni, pokorni, nie oddając złem za zło, ani złorzeczeniem za złorzeczenie, lecz przeciwnie, błogosławcie, gdyż na to wezwani jesteście, abyście błogosławieństwo w dziedzictwie otrzymali. Albowiem kto chce miłować żywot i oglądać dni szczęśliwe, niech pohamuje język swój od złego, a usta jego niech nie mówią zdrady. Niech stroni od złego, a niech czyni dobrze, niech szuka pokoju i niech za nim dąży. Gdyż oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy Jego ku prośbom ich. Lecz oblicze Pańskie przeciw dopuszczającym się zła (Ps. 33, 13—17).

I któż wam zaszkodzi, jeśli z gorliwością dobrze czynić będziecie? Ale jeśli nawet cierpicie co dla sprawiedliwości, błogosławieni jesteście. A grózb ich nie lękajcie się ani nie poddawajcie się trwodze. Lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

St. J.

Przebacz mi Boże

Jeśli cierpienie
grzechu okowy
rozerwać może —
gdy sądzić będziesz — —
nie bądź surowy — —
Ja cierpię,
Boże....

Jeśli ża bólu
piekła płomienie
zagasić może —
zmień potępienie — —
Ja płaczę,
Boże....

Jeśli Cię prośba
pod gniewu lekkiem —
przebłagać może —
wołam do Ciebie
błagalnym jękiem — —
Przebacz mi,
Boże....

St. Śnieżyński.

Dwa światy

Dwa są światy: jeden, w którym przeżywamy krótko i dokąd, raz odszedłszy, nie powracamy więcej; — drugi, do którego wejdziemy nie z zadługo, ażeby na zawsze w nim pozostać.

Dokładamy wszelkich starań, aby w pierwszym zadomowić się jak najwygodniej, a nie czynimy nic, lub bardzo mało, aby sobie przygotować byt w drugim.

Wielu z nas nawet, choć wierzy w tamten drugi świat i w jego wieczne trwanie, myśli, że wystarczy zużyć ostatnią godzinę życia na przygotowanie się do niego. Jest to smutne, przykre zaślepienie.

Na rekolekcjach zamkniętych

Akademicki rok szkolny dobiegał końca. W uczelniach zawieszono już wykłady i ćwiczenia w pracowniach. Profesorowie przeprowadzali ostatnie przedwakacyjne egzaminy. Młodzież zaczynała rozjeżdżać się do domów, na wczasy, na letnie obozy, na praktykę...

Wtedy to właśnie medyk Wacek — po zdaniu egzaminu z chirurgii urazowej — spotkał się z swoim kolegą Alfredem, studentem politechniki, który również był po egzaminie. Obaj pochodzili z tych samych stron, w jednej szkole uczyli się aż do matury.

— Jedziesz do domu — zapytał Wacek — czy prosto na praktykę do jakiej elektrowni?

— Praktykę zaczynam dopiero za tydzień — odpowiedział Alfred. — Zawiozę więc tylko walizę do domu, pokażę się rodzicom i rodzeństwu i zaraz walę do Kokoszyc, bo tam zaczynają się pojutrze rekolekcje zamknięte dla studentów.

— Masz ty, Fredku, rozum? Zamiast wywracać się na te kilka dni na słońce i świeże powietrze, którego brak nam przez cały rok, ty chcesz się zamknąć w klasztorze? Tego Pan Bóg od studentów nie żąda.

— Zaraz widać, żeś ty, Wacku, nigdy na takich rekolekcjach nie był...

— I nie będę — przerwał medyk. — Dość się nawdychiwałem eteru i innych szpitalnych zapachów. Muszę teraz wyzyskać każdy dzień na wypoczynek, na odprężenie fizyczne i duchowe. Chcę przebywać na słońcu i dużo patrzeć na zieleni, a przy tym odżywiać się regularnie i po ludzku.

— Ja także — dodał elektryk — i dlatego jadę do Kokoszyc.

— Kpisz chyba.

— Bynajmniej. Tobie się zdaje, że dom rekolekcyjny — to jakiś ponury klasztor bez słońca i zieleni, gdzie się w dodatku pości o chlebie i wodzie. A tymczasem Kokoszycy — to letnisko w dobrym stylu. Po prostu przebudowana dawna rezydencja magnacka, położona w wielkim parku — z dala od zgiełku zadymionych miast. Idealne miejsce do wypoczynku i rozmyślań. O żołądki tam dbają nie gorzej niż w pensjonatach. Ale przede wszystkim co to za kąpiel dla duszy! O tym nikt nie ma pojęcia, kto tego sam nie przeżył.

— Byś może. To, co mówisz, Fredku, są dla mnie rzeczy nowe. Nie sążę jednak, by rekolekcje dały się pogodzić z letniskiem, a w każdym razie, by przyniosły większą korzyść niż nasze wielkopostne w kościele.

— Mylisz się, Wacku! Tu nie ma nawet porównania. Gdy wyjdiesz z kościoła po

najpiękniejszej nauce, wpadasz w ruch i gwar uliczny i wszelkie skupienie przyska. Uważać musisz na auta i tramwaje, na mijanych przechodniów, wpadnie ci w oczy jakaś oświetlona wystawa, lub znajoma, uśmiechnięta do ciebie panienka i już po całym nastroju. Nie miałeś nawet możliwości przetrwać tego, coś słyszał. A w takim domu rekolekcyjnym istnieje ciągłość nastroju i wszelkie warunki do prawdziwego skupienia. Nawet cienia cisza w parku ma tam swoistą wymowę, nawet stare drzewa, pamiętające kilka pokoleń. A zresztą — po co to mówić! Jedź ze mną, przekonasz się sam! Nie pożałujesz na pewno! Masz tu zaproszenie. Opłata wyniesie 50 złotych za wyżywienie i pościel. W żadnym pensjonacie nie spędzisz czterech dni taniej.

Wacek przeczytał treść kartki, wybitej na maszynie przez Referat Duszpasterski Kurii Diecezjalnej w Katowicach i zamyślił się głęboko.

W dwa dni później, w godzinie przedwieczornej wysiedli obaj przyjaciele na stacji Wodzisław Śląski. Zauważyli zaraz, że nie przyjechali sami, bo z tegoż pociągu wysypało się kilkanaście czapek akademickich różnej barwy i maści. Łatwo zgadnąć, że byli to reflektanci z różnych uczelni w Polsce. Wacek i Alfred z niemałą radością poznali wśród nich swego dawnego kolegę Wiktora, który studiował w Szczecinie.

Ruszyli wszyscy zwartą grupą, zapoznając się po drodze. Od stacji w Wodzisławiu do Kokoszyc jest przeszło pół godziny solidnego marszu. Trzeba minąć czystą, lecz mało ciekawą miejscinę, za którą ciągnie się wśród pól szosa, z rzadka wysadzana drzewami. Jednostajność krajobrazu, ciągnącego się ku bliskiej granicy czeskosłowackiej, rozczerowała Wacka.

— Coś ty mi tu obiecywał? — zwrócił się do Alfreda.

— Poczekaj! — odpowiedział przyjaciel. Dotarli wreszcie do wielkiego rezerwatu zieleni, szumiącego starymi drzewami jak puszcza. Był to park kokoszycki, nie pielegnowany od lat, zdziczały, pozostawiony naturze, co przydawało mu swoistego uroku. Na skraju lasu-parku jaśniały mury dawnego pałacu Donnersmarcków, którego architektura pomimo późniejszych przeróbek zdradzała wiek osiemnasty. Szerokie, w taras ujęte schody wciągnęły przybyłych do wnętrza.

Nie był tu już pierwszy. Grupa, która zjechała wcześniejszym pociągiem po zakwaterowaniu rozbiegła się po parku. Alfred zaprowadził Wacka do kancelarii dla załatwienia formalności. Większość studentów nadesłała zgłoszenia wraz z opłatą wcześniej. Wacek zgłaszał się dodatkowo.

W kancelarii uderzyła Wacka wielka tablica, na której widniał rozkład rekolekcji zamkniętych na najbliższe miesiące. Ze zdziwieniem stwierdził, że każdy tydzień zajęty był przez inną kategorię uczestników. Po akademikach figurowały studentki, po nich matki, panny-urzędniczki, ojcowie, nauczycielki, młodzieńcy, pomocnicy domowe. Na dalszym planie były rekolekcje dla kapłanów, lekarzy, pisarzy katolickich i artystów. Kto nie znalazł dla siebie odpowiedniej grupy zawodowej, mógł zgłosić się na stanową, bardziej ogólną. Dom rekolekcyjny czynny był przez cały rok, a przy rozkładzie grup brano pod uwagę ich bieżące możliwości urlopowe.

Wacek i Alfred dostali wspólny pokój na piętrze razem z Wiktorem i jeszcze jednym kolegą z Krakowa. Były tam cztery, śnieżna pościelą zastlane łóżka, jasne, wesołe ściany, a za oknami zieleni parku, sfiolowało nieco w blaskach słonecznego zachodu...

Ledwo się rozgościli, zabrzmiał dzwonek, wzywający do kaplicy. W ciągu kilku minut zeszli się tam wszyscy. Policzyli się wzajemnie oczami: było ich około sześćdziesięciu — nie za dużo, nie za mało. Rekolekcje zamknięte tym różnią się od otwartych, że nie są i nie mogą być masowe. Wacek wyczuł to w pierwszej chwili, gdy znalazł się w kaplicy. Wydało mu się, że to środowisko jest dziwnie podobne do dawnej klasy szkolnej, gdzie między kolegami istnieje więź i współpraca duchowa, a jednocześnie nawiązuje się ścisły, bezpośredni kontakt między wykładowcą a jego słuchaczami. Zrozumiał, że warunki takie nie są osiągalne w zwykłych rekolekcjach otwartych.

Zakwiliła cicho fisharmonia. Oczy studentów zwróciły się ku drzwiom, w których ukazało się dwóch księży. Jeden z nich — to kapelan miejscowy, lecz drugi był w sutannie z fioletowymi wypustkami i guzikami, przepasanej szeroką fioletową szarfą. Na piersiach miał wielki złoty krzyż, a na głowie fioletową piłuskę. Poruszenie było ogólne. Nikt z przybyłych studentów nie przypuszczał, że rekolekcje ich zaszczycał sam ks. biskup-koadiutor i że on to wygłaszał będzie nauki.

Gdy dostojnik znalazł się przed ołtarzem, Sercu Jezusa poświęconym, zaintonował „Vini Creator”. Studenci chórem pochwycili pieśń i przy wtórze fisharmonii prześpiewali ją po łacinie. Następnie ks. biskup wyszedł na stopień i stanawszy po stronie ewangelii, odwrócił się do zebranych. Młody był jeszcze, niedawno przyjął sakrę. Wacka uderzyła jego twarz jasna, bardzo uduchowiona. Widocznie Duch św. przywołał pieśnią, zsyłał na niego natchnienie.

— Kochani akademicy! drodzy przyjaciele! — padły pierwsze jego słowa. — Przybyliście tu z różnych uczelni kraju, aby w skupieniu, jakiego w życiu codziennym osiągnąć nie podobna, zająć w głębi własnej duszy, poddać gruntownej analizie swój stosunek do Boga i do bliźnich i zbadać, czy jest on dostatecznie na miarę oparty, abyście wyszedszy stąd, realizować mogli w życiu program Chrystusowy, który jest celem każdego katolika na ziemi. Określają go jasno słowa modlitwy Pańskiej: „Adveniat regnum Tuum!” — „Przyjdź królestwo Twoje!”

Te pierwsze zdania młodego biskupa wprowadzały od razu w sedno rzeczy. Ukazywały temat i cel rekolekcji zarazem. Ustalały kierunek myśli słuchaczy:

„Przyjdź królestwo Twoje!”

Wpatrzni w natchnioną twarz mówcy, wsłuchani w jego głos, porzucali roztrągnięcie spraw światowych, wstępowali w swoje dusze... roztrząsali sumienia...

Wrażenie pierwszej nauki było silne. Nie wiedzieli, jak długo trwała, bo stracili poczucie upływającego czasu. „Amen” padło nieoczekiwanie, budząc niemal uczucie żalu, że nauka już się skończyła.

Nastąpiło błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem — i przejście ze świata ducha do spraw doczesnych — na wieczerzę do sali jadalnej.

Milczenie zasiadło przy stołach, na których dymyły parówki śląskie i herbata. Po obfitej strawie duchowej dziwnie nieśmiało brali się studenci do jedzenia. Jakby się wstydziło dopuścić do głosu swój fizyczny apetyt. Ale to była tylko chwila. Równowaga między duchem a ciałem wróciła szybko. Zaczęli jeść w milczeniu. Pod koniec jednak rozwiązały się języki. Ten i ów zapalił nawet papierosa. Zaczęły się dyskusje.



Dom rekolekcyjny w Gorzowie.

Fot. J. Koralewski.

DOBRE SERCE JEZUSA

Zbawiciel Ojcem naszym. Serce Jego nie zawodzi nigdy. Jest zawsze pełne dla nas miłości i dobroci. Nie zraża się ludzką niewdzięcznością, ani grzechami. Jest zawsze cierpliwe, dobre i czeka na powrót tych, którzy zbłądzili. Dla wszystkich nędz ludzkich i upadków ma przebaczenie, gdy widzi szczerą chęć poprawy.

Kiedy Maria w głębokim poczuciu win swoich i jeszcze głębszym żalu przychodzi do Chrystusa, Serce Pańskie jest dla niej pełne litości.

Kiedy przyłapano na złym uczynku jawno-grzesznicy i wiedziono ją na ukamienowanie, Serce Jezusa miłościwe i ją umie wybawić.

Kiedy załamał się Piotr i zaparł Chrystusa niegodnie, Serce Pańskie znajduje dla niego przebaczenie. Mimo zaparcia się Piotra czyni go Chrystus głową apostołów i kierownikiem Kościoła.

Kiedy na krzyżu w duszy łotra budzą się dobre uczucia, kiedy potępia złość swego zbrojnego żywota — Serce Pańskie otwiera się szeroko dla niego: dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Nawet dla Judasza było pełne miłości Serce Chrystusa. Nawet ten zdradca Boga, mógł wrócić, gdyby nie popadł w rozpacz. Czekają nań dobre i przebaczące Serce Jezusowe. I cierpiało, gdy się nie kajał, ale w rozpacz zrzucił powrót na swoją judaszowską szycę.

Miłosierdzie Serca Jezusowego jest bezmierne. Jest jak morze bezkresne, a głębokie i wielkie. Dla błądzących otwarte jest zawsze. Opisuje nasz wielki Sienkiewicz w swojej nieśmiertelnej książce „Quo vadis” okres prześladowań w chrześcijaństwie pierwotnym. Występuje tam zła i przewrotna postać Greka Chilona. Nędzny to człowiek. Wdarł się do chrześcijan, poznał ich tajemnice i wydawał ich pachołkom neronowym na straszną śmierć. Największą jednak krzywdę wyrządził lekarzowi Glaukusowi, chrześcijaninowi. Był sprawcą jego wielkich nieszczęść. Jak jakieś złe przekleństwo siedł za nim i czynił największe zło. Przez niego traci Glaukus majątek, żonę, omal nie ginie, a wreszcie wydany zostaje pospolitą z innymi Neronowi na śmierć za wiarę. Wspaniała jest scena, gdy Nero wraz ze swoimi pachołkami przechadza się po swoich cesarskich ogrodach. Jest noc. Ciemności rozświetlają smolne pochodnie owinięte kwieciami. Wszakże dziwne to pochodnie. Są nimi pale, na których żywcem przywiązano chrześcijan, otoczono

wiencami i podpalono. Nero wraz z grupą zauszników przypatruje się nieludzkim mękom chrześcijan. Przystanęli. Wiatr rozwiał dym. Chilon stojący w pobliżu cesarza dojrzał głowę męczennika na palu.

Był to lekarz Glaukus, któremu on tak straszliwie wiele krzywd uczynił. Twarz męczennika wykrzywiona straszliwym bólem. W duszy złego Greka obudziło się sumienie. Pojął krzywdę, jaką wyrządził temu niewinnemu człowiekowi. Przerazenie i rozpacz owładnęły jego sercem. Nieludzkim głosem krzyknął ku męczennikowi na palu:

— Glauku, przebac. — Zrobiła się śmiertelna cisza. Aż nagle z wyżyn męczeńskiego palu, z ust męczennika doleciały ciche słowa:

— W imię Chrystusa przebaczam.

Greki nie spodziewał się przebaczenia. Wolałby przekleństwo i nienawiść. To przebaczenie męczennika obuchem spadło mu na głowę. Wpadł w potworną rozpacz i nieprzytomny począł biec w ogrody cesarskie. Przy jakiejś fontannie zatrzymał go obcy człowiek. Grek nie znał go. Był to apostoł Paweł. Począł z Chilonem rozmawiać i prawić o miłosierdziu Bożym.

— Dla mnie nie ma przebaczenia — odrzekł Grek.

— Przebaczy ci Chrystus. Jego miłosierdzie większe jest niż grzechy twoje. Twoje występki są jako kamienie. Miłosierdzie Boskie jako ocean. Nie zrzucisz kamieniami morze. Przeto ufaj. Przebaczy ci Chrystus.

Uwierzył Grek. Po chwili woda chrztu zmywa jego duszę. Pełny radości i on idzie wyznać Chrystusa. Kończy jako męczennik za wiarę.

Serce Chrystusa pełne jest miłosierdzia i przebaczenia. Nie zawodzi nigdy. Dlatego z ufnością i wiarą w przyszłość mogą patrzeć nawet najwięksi grzesznicy. Serce Jezusa przebacza. Serce Jezusa jest większe niż ludzkie upadki. Jeno podnosić się i z wiarą iść do Niego. Nie rozumieją Chrystusa, którzy tracą wiarę w miłosierdzie Jego wielkiego Serca.

Czytajmy Ewangelię. Patrzmy jak idą do tego Chrystusa grzesznicy. Z jaką wiarą. Z jaką ufnością. Osoba Pana nie napełniała ich strachem i obawą. Nie uciekają przed Nim. Idą do Niego. Szukają Go, pragną się z nim zetknąć.

Dlaczego więc trwożyć się z powodu win, gdy powstać pragniemy? Dlaczego nie do wierzać Chrystusowi? On zawsze przecieży ten sam. Jego Serce wprost usycha z pragnienia przyciśnięcia do swego Serca grze-

szników. Więc zawsze z ufnością do Chrystusa. On większy niż nasze grzechy. Nie pojmujemy małości serc naszych, wielkości Jego Serca.

Zakończymy czytanek naszą przytoczeniem pięknego ustępu z książki Fiedlera pt. „Dobry Bóg”.

„Lęk przed Bogiem?”

Gdybym wrócił do mej matki bardzo nie-szczęśliwy; zawiedziony przez życie, opuszczony przez ludzi i moich przyjaciół, to wówczas matka moja by mnie pocieszała i podwójnie dobrą byłaby dla mnie widząc mnie samotnym i opuszczonym.

I gdybym stracił cały majątek i stanowisko i stałbym się żebrakiem, wówczas dawni znajomi odwracaliby się odemnie przy spotkaniu, a gdybym zadzwonił do ich drzwi, to bym je zastał zamknięte, wszyscy bowiem baliby się, iż przychodzę o pomoc ich prosić.

Ale wtenczas moja matka podwójnie szeroko drzwi by mi otworzyła, dlatego właśnie, że stałem się biedny i że już nikt znać mnie nie chce.

I gdybym dobrą sławę stracił i stał się złodziejem, i musiał uciekać, i przyszedłbym w nocy do mej matki, to by mi otworzyła i ukryła mnie. Nakarmiłaby mnie i dała pieniędzy na ucieczkę, nawet gdyby sama miała potem przez dwa dni głodować. I nie powiedziałaby nikomu, dokąd uciekłem i nie zaznałaby chwili snu ani spokoju, dokąd by mnie nie ujrzała w bezpiecznym ukryciu; mimo, że straciłem dobre imię, a ja uczyniłem matką złodzieja.

I gdybym został mordercą, a obraz mój był we wszystkich pismach, a moje i mej matki imię wydane byłoby na pastwę pogardy ludzkiej, ona zaś sama nie mogłaby przejść przez ulicę, by ludzie nie wskazywali na nią palcami mówiąc: oto matka mordercy — a jednak i wtedy by się mnie nie zaparła; poczyniłaby wszelkie wysiłki, aby mnie ratować, wyszukiłaby dla mnie najlepszego obrońcę i opowiedziałaby mu, co tylko o mnie dobrego pamiętała; wyznałaby dla mnie tysiące łagodzących okoliczności szukając powodu, mogącego winę moją zmniejszyć. O niczym innym by nie myślała jak o mnie, dniem i nocą, nocą i dniem.

A nawet, gdybym łaski nie znalazł i jako zbrodniarz musiał umierać, to znalazłbym zawsze łaskę i przebaczenie w sercu mej matki.

A jednak jest napisane: „Gdyby nawet matka twoja mogła o tobie zapomnieć, to Ja, Bóg twój, nie zapomnę o tobie.”

Ks. Mgr Józef Anczarski.

Chilon błaga o przebaczenie.



Z NIZIN DO BOGA

Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli filozofii rzymskiej okresu cesarstwa był Lucjusz Anneusz Seneka (4—65 po Chrystusie).

Ze względu na jego pisma filozoficzne moralne, zawierające wiele trafnych myśli i wzniosłych zasad moralnych, warto zająć się pokrótce ustosunkowaniem się Seneki do ówczesnej moralności rzymskiej. Niewątpliwie da nam to obraz kształtowania się psychiki i poglądów mędrca starożytności.

W pierwszej linii uderza nas życie Seneki. Nie będąc Rzymianinem bo pochodził ze starej rodziny hiszpańskiej, nosił w sobie coś z bohaterów Rzymian i coś z upadających rodów hiszpańskich. Dwór cesarza Nerona, w którego progi wstąpił Seneka jako mentor i wychowawca, ośniewał przepychem, potęgą władzy, a jednocześnie sływał z upadku moralności i zepsucia. Seneca uderzyło do głowy jedno i drugie. I tak jak później św. Augustyn tak Seneka brnął przez ożelustwo zła i niziny grzechu do wyżyn szlacheckich duszy. Sam to przyznał pisząc, że „drogę prawości, którą odzyskałem późno, utrudzony długim błędzeniem wskazuję teraz bliźnim”.

Wyczerpany hulastycznym życiem podupada na zdrowiu. Lecz jednocześnie poczyną się w nim budzić tęsknota za lepszym życiem. Umie już okiem krytycznym spojrzeć na ówczesne stosunki w Rzymie i oceniać wartości moralne swego pokolenia.

Oto jak pojmuje zagadnienie duszy. Duch według Seneki to „jakaś Boska postać w ciele człowieka”, to iskra Boża wdmuchnięta w „ponure i ciemne koczowisko”, w „wiezienie, w którym jęczy w kajdanach skuta dusza”.

Seneka uważa iż wojna i chęć wzbogacenia się na niesprawiedliwości oraz znienawidzenie pracy i pogoń za czymś lepszym materialnie z krzywdą bliźnich jest kulą u nogi społeczeństwa. Walczy ze zбочeniami seksualnymi, z cudzołóstwem i z wieloma innymi wrzodami społecznymi.

Sam wyraża że w upadkach i wzlotach czuł jak z góry nań ktoś groźnie patrzy. Wzrok ten nakazuje mu stąd odejść lepszemu, „trzeba bezwarunkowo położyć raz stanowczy kres złym nałogom” i wreszcie żyć uczciwie, by móc uczciwie umrzeć.

Zwycięstwo jakie pragnął odnieść tylko sam, wytrąca mu z rąk Opatrzność. Czuł prawie namacalnie, że święty w nas jakiś przemieszkiwa duch, złych i dobrych uczynków świadek.

„Oto wstąpił Pan między ludzi, co mówię? Znacznie bliżej zamieszkał w naszych sercach. A nie znajdziesz cnotliwszego umysłu bez Boga. Rozsiane są w ludzkich ciałach nasiona rzeczy boskich, które, jeśli skrzętny gospodarz o nich radzi kielkują w podobieństwie swojego rodzaju i rosną jako wierne odbicia swych początków, jeśli gnuśny, to jak ziemia błotnista i bezpłodna zdławi je, a tak płodzi chwasty zamiast pólów”.

Nie jest wykluczone, że Seneka czerpał te myśli z nauki Boskiego Zbawiciela. W tym czasie prawda ewangeliczna w Rzymie miała już wielu zwolenników. W jej duchu wiele aktualnych myśli zostało wyrażonych w formie sentencji. Oto kilka z nich:

„Z mniejszym od siebie tak się obchodź, jak chciałbyś, aby z tobą obchodził się zwierzechnik”.

„Nie można być szczęśliwym kosztem krzywdy bliźniego”.

„Nie będzie żyć dla siebie, kto nie chce żyć dla bliźnich”.

„Raduj się szczęściem drugich i lituj się nad nieszczęściem”.

„Człowiek dla człowieka powinien być świętością”.

„Podaj dłoń rozbitekowi, błądzącemu wskaż drogę, z głodnym chleb swój podziel”.

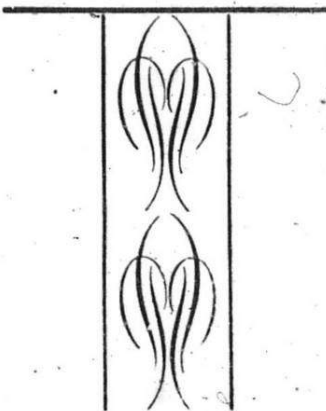
„Gorzej temu, co krzywdzi, niż temu co pokrzywdzon”.

„Dobro bliźnich uważaj za swoje”.

„Pamiętaj, że jesteśmy członkami wielkiej gminy i z jednego rodu braćmi, stworzeni do jednego współżycia w miłości”.

Kilka powyższych sentencji wyjętych z ostatnich ksiąg Seneki wystarczy chyba, by stwierdzić w jakim stadium zbliżania do chrześcijaństwa była dusza tego poganina. Wielki sukces może odnieść człowiek nad sobą o ile kieruje się zdrowym głosem sumienia, rozumu i dobrą wolą. Dusza ludzka z natury bliska jest chrześcijaństwu. Wzorem tego był właśnie Seneka.

Z. Ł. M.



Chrystus w koronie cierniowej.
Nowoczesna rzeźba kościelna.



NA REKOLEKCJACH ZAMKNIĘTYCH

(Dokończenie ze str. 186)

Porządek dni następnych wypełniony był szczerze. Przewidywał rano. Mszę świętą, dwie nauki przegrodzone śniadaniem, przechadzkę po parku, obiad, odpoczynek popołudniowy w parku, popołudnie dyskusyjny z udziałem ks. biskupa, gdzie każdy mógł wysunąć swoje wątpliwości, naukę wieczorną z błogosławieństwem i kolację.

Program był urozmaicony, po wysiłku myślowym przynosił odprężenie. Wacek wrócił całkowicie w atmosferę rekolekcji. Było mu lekko i dobrze. Czuł radość słonecznej zimy. W godzinach wytchnienia przemierzał z kolegami lub samotnie olbrzymi dziczyły park. Brnął zapamiętałe przez wysoką trawę, która dawne aleje porastała, przeskakiwał pnje i kłody, zaspokajając głód ruchu, zanurzał się w sztuczne czy naturalne wąwozy, gdzie z cieniem mieszało się słońce. Tam siadał na omszałym kamieniu i rozmyślał nad słowami księdza biskupa.

Tu, na łonie przyrody, zdala od zgiełku

miast, łatwiej przetrwawiało się słyszane prawdy, łatwiej rodziły się myśli ku Bożym drogom wiodące. Tu pojmować zaczął Wacek pustelników i proroków, którzy w samotności gotowali się do publicznych wystąpień. To właśnie była kąpiel duszy, o jakiej wspominał mu Alfred. Musiał jej sam zakosztować, by ją należycie ocenić.

Czas przesuwał się szybko. Nie spostrzegli studenci, jak nadszedł ostatni, pożegnalny poranek. Po przyjęciu Komunii świętej z rąk biskupa spożyli ostatnie śniadanie. Potem nastąpiła jeszcze wspólna fotografia na pałacowych schodach i serdeczne pożegnanie z ks. biskupem, z którym się jak z przyjacielem żyli i którego pokochali.

Odrodzeni na duchu ruszyli z powrotem na dworzec. Z ust ich wyrwała się wtedy samorutnarska pieśń wesoła, którą podjęli pełną piersią, jakby z górskiej wracali wycieczki.

BUNT W RODZINIE GONZAGÓW

Fernando Gonzaga, książę Castiglione, naczelný dowódca wojsk hiszpańskich we Włoszech, z radosną dumą opuszczał zamek w Escorialu. Król Filip II wcale hojnie wynagrodził jego usługi, uczynił go swym margrabią, a co więcej, zgodził się przyjąć jego najstarszego syna, Alojzego, do korpusu paziów, między pacholeta z najświetniejszych rodów książęcych Europy. Fernando duszę by oddał za każde wywyższenie swego rodu i za każdy promień łaski pierwszego monarchy na świecie.

Niewiele miał dotąd czasu dbać o wychowanie synów, skoro ciągle w obozie przebywał. Nie dowierzał jednak pobożnej żonie, ani surowemu ochmistrzowi swemu del Turco. Dlatego posłał Alojzego i Rudolfa do pełnej światłości blasku Florencji Medyceuszów, by nauczyli się błyszczeć. Cóż, kiedy nadmierna, rozpasana zmysłowość, szalejąca nad brzegami Arno, zraziła Alojzego! Choroba żołądka pomogła mu wycofać się w zacisze celi, gdzie lubił modlić się skrycie. Fernando, dowiedziawszy się o tym, posłał chłopców na dwór swoich kuzynów w Mantui, by mieli na nich lepsze baczenie. I z tego nic wyszło, bo Alojzy zapadł tam na żółtaczkę. Nie świat pociągał przyszłego dziedzica Gonzagów, ale święci mężowie z Towarzystwa Jezusowego, z którymi się stykał. Wszak Piotr Kanizjusz uczył go katechizmu, a Karol Boromeusz dał mu pierwszą Komunię świętą.

Teraz dopiero Fernando był pewien, że znalazł dla pierworodnego właściwe lekarstwo. Wszak Escorial był zamkiem-klasztorem, wśród piasków kastylskich wznieścionym. Kratę męczeńską św. Maurycego kształtem zewnętrznym przypominał. W jego murach i modlić się można i wielkoświatowej dyplomacji się uczyć, której jemu jako żołnierzowi nieraz brakowało. Pod okiem starzejącego się króla Alojzy zdolności swoje rozwinie i do dalszej chwały Gonzagów się przyczyni.

Przybywszy do Madrytu, niezwłocznie wysłał Fernando przez gońca list do żony z poleceniem, by Alojzy natychmiast w dobrówę eskortie wyruszył do Hiszpanii. Nie przewidział jednak, że nie tylko w Madrycie, lecz i w samym Escorialu coraz większe wpływy zdobywać będą — jezuiti, od których pragnął syna oderwać.

Alojzy Gonzaga raz jeszcze udowodnił, że nie posiada dumy rodowej, odziedziczonej po przodkach. Nie pociągnęła go ponura świetność Escorialu, podobnie jak przedtem nie zdobyła go hałaśliwa Florencja, ani naśladowca ją Mantua. Wyraźnie uciekał od dworskiego życia — które nawet w Escorialu nie było wolne od grzechu — ku książkom. Pociągała go filozofia i matematyka. Uzyskał tyle, że jezuiti przyjęli go na naukę do swego kolegium w Madrycie.

Nauka w tym kolegium wciągnęła Alojzego w krąg spraw samego zakonu. Towarzystwo Jezusowe prowadziło wówczas zaciekłą walkę przeciwko reformacji lutersko-kalwińskiej, zaprzeczającej istnienia wolnej woli. Nie była obojętna, bo z braku wolnej woli wynikał nieodpartość brak odpowiedzialności człowieka za jego czyny, zatarła się też pojęcie winy i grzechu. W obronie wolnej woli wysiłały się najtęższe mózgi filozoficzne zakonu. Młodzieńczo umysł Alojzego zapalił się do tej walki.

W dzień Wniebowzięcia N. M. P. 1583 r., gdy klęczał rozmodlony w madryckim kościele jezuitów, powziął 15-letni Alojzy zamiar wstąpienia do zakonu rycerza z Loyoli. Gdy następnie oznajmił to ojcu, Fernando wpadł w furie.

— Dość mam twojego szaleństwa! — mijał się szarpiąc brodę. — Jesteś moim dzieckiem, przyszłością rodu Gonzagów. Komu przekażę księstwo Castiglione i chwałę przodków, jeśli ty suknię zakonną na równi z ludźmi nikczemnego stanu przywdziejesz i całkiem dla świata zginięsz, który stanął dla ciebie otworem!

— Ja, ojcze drogi, inny świat wybrałem! — ozwał się Alojzy.

— Jeżeli jeszcze raz mi o tym wspomnisz, oćwiczę cię kaze, jak prostego chłopca! — potrząsnął nim ojciec i pchnął go gwałtownie ku drzwiom.

Dwa lata trwała walka, jaką toczył Fernando z postanowieniem swego syna. Choć sam naraził się wpływowym na dworze jezuitom, nie tracił nadziei, że wreszcie upór młodzieńca skruszy i do rozsądku go przywiedzie. Używał wszelkich od tego środków, bo nawet dziewczęta wesole mu nasyłał, by Alojzy czystość z nimi stracił. Ale młodzieniec odrzucił ze wzgardą wszelkie pokusy i trwał w niezłomnym zamiarze.

Wreszcie zniecierpliwiony Fernando, postanowił w czyn wprowadzić swą groźbę i złamać go chłostą. Od dawna już kazał przygotować sobie bicz skórzany z prętem żelaznym w środku i zawiesił go sobie nad łóżkiem. Lecz teraz, gdy sięgnął w to miejsce, bicia nie znalazł. Piekiło zrobił służbie, lecz nikt nie mógł dać żadnych wyjaśnień.

— To on! — pomyślał o synu. — Chciał się zabezpieczyć przed egzekucją i schował.

Gniew wielki zwrwał w sercu Fernanda. Wziął swój pas rycerski, żelazem nabijany, i ruszył do komnatki, w której sypiał Alojzy. Pchnąwszy gwałtownie drzwi, stanął jak wryty.

Ujrzał bowiem syna, obnażonego do pasa, smagającego swe plecy jego biczem do krwi. Nie bał się więc Alojzy groźby ojcowskiej, nie czekał na egzekucję karną. Poskramał sam swoje ciało — by je oderwać od świata i poddać całkowicie wolnej woli ducha. Tak uczył ojciec Ignacy z Loyoli i taką drogę ku doskonałości naśladowcom swoim polecił.

Fernando opuścił podniesioną rękę z pasem. Zrozumiał, że walki z synem nie wygra. Dał mu zezwolenie na wstąpienie do Towarzystwa Jezusowego. Alojzy upadł z wdzięczności ojcu do nóg. Następnie z radością podpisał akt zrzeczenia się praw dziedzicznych do księstwa Castiglione na rzecz młodszego brata Rudolfa, który potem król Filip II miłościewie zatwierdził raczył.

W październiku 1585 r. wyruszył Alojzy do Rzymu, gdzie został przyjęty do zakonnego nowicjatu. Sam pilnował, by go traktowano na równi z innymi braćmi, zapomniawszy o jego pochodzeniu. Pograżył się całkowicie w ćwiczeniach duchowych i studiach teologicznych. Zdawało się, że już wszystkie więzy zerwał ze światem, w którym się wychował.

Tymczasem doszła go wieść o skandalu małżeńskim brata jego Rudolfa, na rzecz którego zrzekł się ojcowskiego dziedzictwa. Głęboki rozłam rozdzielił ród Gonzagów i wstrząsnął księstwem Castiglione.

Nie była to sprawa obojętna dla skromnego braciszka jezuitckiego, Alojzego. Nie chciał on dopuścić, by grzech zwyciężył w jego rodzinnym gnieździe. I oto ten, który wzgardził tronem książęcym, za pomyłonego syna uważany, zwołał się na pewien czas u swoich przełożonych, by pośpieszyć do Castiglione. Tam dowiódł czynem, że nie ze strachu przed objęciem rządów zamknął się w zakonie.

Przez kilka miesięcy bawił na zamku Gonzagów, by uporządkować sprawy ro-

dzinne. Niezwykłą zrećnością i stanowczością sprawił, że skandal małżeński został usunięty i zgoda zajęła miejsce rozłamu. Interwencja Alojzego wywołała powszechny podziw. Wtedy dopiero pożegnał się ze swą rodziną na zawsze.

Wrócił do celi klasztornej z dziwnym przeświadczeniem, że już długo żył nie będzie. Był jednak zbyt obowiązkowym, by przerwać studia, choć choroba płuc zaczęła w nim czynić postępy. Chciał jednak uczynić przed śmiercią jeszcze coś dobrego dla ludzi, którzy pomocy najbardziej potrzebują.

Sposobność nadarzyła się niebawem.

Gdy z początkiem 1591 r. wybuchła w Rzymie wielka zaraza, błagał Alojzy przełożonych, by mu pozwolili przelegnować jej ofiary. Przełożeni wzbraniłi się, widząc jego słabe zdrowie, lecz on nie przestawał prosić, aż pozwolenie uzyskał.

Chorzy budzili w nim strasliwą odrazę, lecz Alojzy przełamał ją siłą swej woli, którą umiał hartować od lat. Czynił nieszczęsnym ofiarom najniższe posługi — póki nie zaraził się sam.

3 marca słabość powaliła go na łożo. Lecz ciało jego, choć wycieńczone i delikatne, tak dalece było już zdyscyplinowane wolą, że choroba, która silnych i zdrowych zabijała w ciągu kilku dni, potrzebowała trzech i pół miesięcy, by złamać wreszcie Alojzego. Na kilka tygodni przed śmiercią zapowiedział konfratrom dzień, w którym zejdzie z tego świata — 21 czerwca 1591 roku — i godzinę.

Zapowiedź spełniła się najdokładniej. Brat Alojzy Gonzaga, były książę Castiglione, zmarł w 23 roku życia, nie doczekawszy się już święceń kapiańskich.

Życiem swoim dał odpowiedź luto-kalwinom, czy istnieje wolna wola w człowieku i jakie są jej granice.

Kazimierz Gołba

St. J.

W ciszy letniego wieczoru

Wieczór, — cisza — ach, jak błogo w letniej ciszy czuć — żyć, myśli, serce wznies do Boga, natury czar z rosą pić...

Spokój, — księżyc na błękitie — wietrzyk szepce, — listek drzy: zbudź się ach zbudź nowe życie! — wszystko woła — gwiazda skrzy...

Noc, — sen krąży ponad ziemią cichnie rozgwar złotych pól, ptaszki na gałązkach drzemią nikną troski, słabnie ból...

Sen, — pociecha, sen nadzieja — łagodnie żal i gniew nawet smutki w śnie się śmieją, to przyrody cichy śpiew!...

SŁYNNNA AKTORKA POKUTNICA

Na cmentarzu w Thulieres (we Francji) zwraca uwagę przechodnia następujący napis na skromnym nagrobku pod murem: **Wszystko opuściłam dla Boga... Ty, Któryś mnie stworzył, miej litość nade mną.**

To grób zmarłej w roku 1929, słynnej niedługo paryskiej aktorki z teatru „Rozmaitości”, Ewy Lavalliere, której nagłe zerwanie ze sceną w r. 1917, nawet podczas wielkiej wojny światowej, stało się niemałą sensacją dla ówczesnego tzw. wielkiego świata. Już od dzieciństwa miała ona nieprzerpniętą pociąg do teatru. Po tragicznej i dość burzliwej młodości, mając lat 24, rozpoczęła swą karierę aktorską. Dzięki niepospolitej urodzie i prawdziwemu talentowi, bardzo szybko zdobywała sławę i staje się wprost bożyszczem całego Paryża literackiego i artystycznego; nie brakło nawet panujących, którzy ubiegali się o jej względy.

Lato 1917 roku postanowiła spędzić z dala od gwaru wielkiego świata, na wsi, w zupełnej ciszy i spokoju. I tutaj właśnie czekała na nią wielka łaska, jak ongiś przy studni Jakóbowej w Sichoar czekał Dobry Pasterz na Samarytanę. Na wsi Ewa spotyka się z prostym, wiejskim proboszczem... I pod jego wpływem, po przeszło trzydziestu latach światowego życia, nawraca się. Po gruntownym przygotowaniu, przystępuje parokrotnie do spowiedzi św., a potem Komunii św. po raz pierwszy od czasu swej pierwszej Komunii św.

Pod koniec swego pobytu na wsi, postanawia stanowczo zerwać z dotychczasowym swym życiem i całkowicie poświęcić się pokucie. Zrywa więc podpisaną przed wakacjami umowę co do swych występów w Ameryce, wypowiada kontrakt w teatrze, nie odpowiada na listy, którymi zasympyal ją dyrektorzy scen, koledzy, autorowie dramatyczni i dotychczasowi wielbiciele. Gdy ją

proboszcz hamował, odpowiadała: „Jako ojciec? Dopiero co wyciągnąłeś mnie z bagna, i chcesz mnie napowrót w nim pograć? Przenigdy.” I nie jest to przelotny kaprys lub chwilowy tylko zapal znużonej holdami świata aktorki.

Po powrocie do Paryża sprzedaje pośpiesznie swe klejnoty i bogate toalety, pałacyk, luksusowe jego urządzenie i dzieła sztuki, a uzyskane w ten sposób sumy obraca na dobre cele i dla ubogich. „Chcę się wyzwolić ze wszystkiego (mówiła do swego proboszcza) i być całkiem ubogą”.

Pełna głębokiej pokory i wzdargy samej siebie, ubiera się odtąd skromnie w suknie

ciemnego koloru, noce zimowe przepędza pod jednym prześcieradłem w nieopalanym pokoju; gdy w kilku ostatnich latach życia walała się na nią dotkliwe choroby, gdy traciło jedno oko, mówi: „Słusznie by Bóg oczyszczał, co zgrzeszyło, bądź wola Twoja”. Cierpienia nazywa „pocałunkami Jezusa”, a gdy kierownik jej duszy, ks. arcybiskup Lemaitre chcąc jej dodać otuchy, nazwał jej cierpienia „kluczem do nieba”, wołała: „Daj mi ojciec, cały pęk tych kluczy”.

Nawrócenie się tej duszy do Boga, to piękny przykład szczerej skruchy i stanowczego, mocnego postanowienia poprawy.

Z życia misyjnego

— Według statystyki pewnego lekarza specjalisty na terenie trzech prowincji południowo-wschodniej Afryki: Ugandy, Kenii i Tanganiki, liczących w sumie około 18 milionów ludności, żyje obecnie aż 215 tys. trędowatych.

— Śluby zakonne pierwszej Eskimoski. W Chesterfield-Inlet w pobliżu zatoki Hudsonskiej złożyła ostatnio śluby zakonne w zgromadzeniu Sióstr Szarych pierwsza dziewczynka eskimoska, Nya (siostra) Pelagia, licząca 20 lat. Urodziła się ona na

dalekiej północy, jako córka czarodzieja plemienia Padlarmiuth, który jako jeden z pierwszych przyjął wiarę katolicką. Pelagia jak wszyscy członkowie plemienia, wiodła ciężkie życie koczownicze, pomagając w mozolnej pracy nad wyprawą skór zwierzęcych na odzienie. Gdy w r. 1945 epidemia dyfterii zdziesiątkowała plemię Padlarmiuth, jeden z jego członków przypisując klęskę tą gniewowi duchów przodków, usiłował zmusić swych towarzyszy do powrotu do dawnej wiary. Napotkał jednak na zdecydowany opór ze strony rodziców Pelagii, ona sama zaś po tym wydarzeniu postanowiła poświęcić się służbie Bożej. W 1946 r. udała się do Chesterfield-Inlet, gdzie w zakonie Sióstr Szarych rozpoczęła dwuletni nowicjat.

Jak budowano kościoły w średniowieczu?

Przy budowie wielkich budowli, np. słynnych katedr gotyckich, używano w średniowieczu jako budulca kamienia, a że nie znano cementu, glazy po prostu nakładano jedne na drugie; ten system budowy wymagał jednak doskonałej znajomości materiału — kamienia, i bardzo starannej jego obróbki. Zasadę budowy sklepień znano zgóry od tysiąca lat, znano też naturalne prawa ciężkości, wytrzymałość kamienia na ciśnienie pionowe i poziome. Gdy zachodziła potrzeba zastosowania ostrych krzywizn, łuków czy rozet, — a zatem spawanie poszczególnych części było niezbędne, stosowano łączenie kamienia przy pomocy kołków ołowianych lub kości bydlęcych, które wpuszczano do sporządzonych w tym celu wydrzeń, zalewając je następnie roztopionym ołowiem.

Dzisiaj niepodobna wprost wyobrazić sobie, ile trudu, ile godzin mozolnej, cierpliwej pracy wymagało zbudowanie rozety okiennej o średnicy np. 10 metrów, gdy musiano posługiwać się tym właśnie sposobem zalewania na wysokość 20 metrów!

Przy będącej obecnie w odbudowie, a zniszczonej na skutek bombardowań w czasie ostatniej wojny, wspaniałej katedry w Rouen, postanowiono użyć metod budowy i narzędzi takich, jakimi posługiwano się w XIII wieku, aby odbudowane partie nie odróżniały się swym wyglądem od zabytkowej całości.

Kaplica w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.



Zapisz się na członka KUL.



RZADKI JUBILEUSZ

Parafia Przechlewo, pow. Człuchów.

Zetknąłem się z trzema mieszkańcami parafii Przechlewo. Z żywym zainteresowaniem opowiadają mi o swoim kościele parafialnym, o życiu religijnym, o swoim starym proboszczu, do którego ludzie są tak bardzo przywiązani. A że mam zawsze wieczne pióro z atramentem w kieszeni i już o tak wielu parafiach z naszej diecezji pisałem, więc chętnie notuję słowa, nie od księdza proboszcza ale od wiernych.

Więc parafia Przechlewo. Niech i o niej będzie garść wiadomości. Dusza liczy około 2000, należy do niej kilka okolicznych wiosek. Kościół ma piękny pod wezwaniem św. Anny. Liczy on do 250 lat istnienia. Była to katolicka świątynia z proboszczem katolickim i parafią katolicką za czasów niemieckich. Ten proboszcz, Polak z pochodzenia, został na swoim miejscu i gdy na ziemię zachodnie napłynęły polskie fale, by objąć dziedzictwo ojców, obsługuje z miłością i oddaniem się nowych parafian. Jest on już w Przechlewie 31 lat. Spory szamat czasu. Polacy bardzo szybko przywiązali się do niego i otaczają go pełnym szacunkiem i miłością.

Kościół wojna nie zniszczyła. Dzięki opiece Bożej zachował się cały z katolickim urządzeniem wnętrza, toteż nie trzeba było jak w tylu innych świątyniach czynić wielu wkładów, by świątynia wyglądała jak należy i by było się w niej dobrze modlić polskiemu ludowi.

Przerobiono tylko za polskich czasów ołtarz, wprowadzono światło i ogrodzono parkanem kościół.

Ludność pochodzi z różnych stron Polski. Najwięcej jednak jest Kaszubów, którzy przez wieki całe oparli się i ostali germańskim wpływom niemieckim. Kaszubi są pobożni. Stosunki pomiędzy nimi a przybyłymi z innych dzielnic Polski układają się coraz lepiej, a więzów łączących ludność narasta każdego roku więcej.

Życie religijne pulsuje w kościele normalnym tętnem. Ludność do kościoła uczęszcza chętnie. Ducha wiary pogłębiają u wiernych rekolekcje, urządzone we wielkim poście.

Szczególnie pamiętne dla parafii Przechlewo to były dni, kiedy przyjechał z pasterską wizytacją Ordynariusz z Gorzowa w r. 1950. Przeglądając tych dni, głęboko wryły się w pamięć parafian. Po dzień dzisiejszy często wspominają owe chwile wielkich wzruszeń religijnych.

Pisząc o parafii Przechlewo, należy choć słowem wspomnieć i o ministrantach, których jest tu spora grupka i którzy z oddaniem się i skupieniem biorą udział w nabożeństwach kościoła, podnosząc swoją służbą ministrancką Bogu powagę i godność świętych obrzędów kościoła.

Na terenie parafii jest kilka zakonnic. Pomagają księdzu proboszczowi w nauczaniu dziatwy religii, i noszą chorą pierwszą pomoc lekarską i opiekują się opuszczonymi.

Ludność w masie rolnicza. Trzeba wspomnieć także i to, o czym parafianki Przechlewa zgodnie i z pewnym zadowoleniem mówią, że Przechlewo jest wprawdzie wsią, ale wsią bardzo piękną, jest jak miasteczko. Wiele tu zieleni. Kościół stoi na wzgórku, w pobliżu piękne jezioro.

Na koniec parę słów o uroczystościach niecodziennych jakie przeżywała parafia Przechlewo 17. III. br. Uroczystości rzeczywiste niecodzienne i rzadko spotykane. Oto proboszcz Przechlewa ks. Grzesiekiewicz Paweł obchodził w tym dniu złoty jubileusz kapłaństwa, 50-letnicę swoich kapłańskich święceń. Rzadko który kapłan dożywa takiej chwili. Na uroczystości złotego jubileuszu przybył Ordynariusz z Gorzowa, przybył ks. dziekan ze Szczecina i kilku księży. Kazanie wygłosił Ordynariusz ks. Prałat Załuczkowski. W prostych ale rzewnych i głębokich słowach podkreślił wielkość prac kapłańskich czcigodnego ks. jubilat. Ileż w swoim kapłańskim trudzie poprzez jego poświęcone, kapłańskie dłonie, spłynęło łask na wiernych. Ile par ludzkich złączył na życie dla Boga i Ojczyzny. Ile dziecięcych głów obmył wodą chrztu św., ilu ludzi zwolnił z więzów grzechu w sakramencie spowiedzi. Ile razy złożył Bogu Najwyższemu przyczystą ofiarę Mszy św. w ciągu 50 lat. Ile zapału i Bożych sił rozniecił w ludzkich sercach. Pięćdziesiąt lat, to wielki szmat czasu.

Uroczystości jubileuszowe były w sobotę palmową.

Kościół był pełen ludzi. Uroczysta procesja z chorągiewami przyprowadziła ks. jubilat do świątyni wśród radosnego odgłosu dzwonów.

Mszę św. odprawił czcigodny ks. jubilat w asyście dziekana i subdiakona.

Zebrani tłumnie parafianie aż płakali z nadmiaru wzruszeń i uczuć. Szczególnie rozszochał się lud wierny, gdy przemówił sam jubilat, dziękując Ordynariuszowi i wiernym za głębokie wyrazy życzliwości i przywiązania.

W swej mowie podkreślił, że przywiązał się do parafian całą swoją kapłańską duszą, że czuje się wśród nich dobrze i wdzięczny jest Bogu za lud tak dobry i Boży.

Kościół ustroił parafianie na jubileuszową uroczystość przepięknie.

Ks. proboszcz, aczkolwiek obchodził już 50-lecie kapłaństwa trzyma się pod względem zdrowia dobrze i krzepko.

Od nas składamy mu życzenia aby jeszcze jak najdłużej w sile i zdrowiu mógł pracować dla Bożej chwały i dla zbawienia wiernego ludu. (GG)

PARAFIA SULECHÓW

Jesteśmy w Sulechowie. Jest to miasteczko powiatowe, liczące 4-5 tysięcy ludności. Parafia liczy do 7 tysięcy dusz. Przez Sulechów przewalili się niszczycielskie siły wojny, zostawiając po sobie 60 % miasta w gruzach. Działania wojny dokonały także znacznych zniszczeń w świątyni. Dach trzeba było poprawić i wieże, powstawić nowe okna itd.

Przed wierzącą ludnością, gdy stanęła na nowych ziemiach, był ogrom pracy, przez którą jednak jak wszędzie tak i tutaj przebrnął nasz pracowity naród zwycięsko. Dziś kościół sulechowski jest całkowicie doprowadzony do porządku. Dach naprawiony, wieża stoi mocno i bezpiecznie, organy w należytym stanie, nowa posadzka nowe okna. Nie można pominąć i tego, że w roku 1949 odmalowano wnętrze kościoła. Miło dzisiaj popatrzyć na kościół w Sulechowie, miło wejść do niego. Czyściutko tu, świeżo, w każdym szczególe znać troskę nowych gospodarzy o dom Boży.

Świątynia sulechowska ma swoje szacowne dzieje. Wybudował ją wiek XIII. Była pod wezwaniem Podwyższenia św. Krzyża. Oczywiście katolicka. W XVI wieku wydarła go z rąk katolickich reformacja, przeszedł w ręce protestantów. Stało się to w r. 1527 w same Zielone Świąta. Marmurowa tablica w kościele głosi, że pierwsze protestanckie kazanie w r. 1527 wygłosił tu pastor Piotr

Grimm. Od tego czasu minęło 18 pokoleń ludzkich. Przewalili się fale wydarzeń.

I w 419 lat później, znów w Zielone Świąta, gdy Ziemię Zachodnie wróciły w prawowite ręce polskie, kościół w Sulechowie przechodził w ręce katolickie i służy polskiemu ludowi w oddawaniu Bogu Najwyższemu chwały.

Katolicy za czasów niemieckich mieli inny kościółek, maleńki, wybudowany był w roku 1864, a raczej przerobiony był z farbiarni. Jest pod wezwaniem imienia Maryi. Zachował się cały.

Jest w Sulechowie jeszcze trzeci kościółek. Był on protestancki, wojna zniszczyła go częściowo. Obecnie obsługuje go ksiądz Józef Mokryński. Jest pod wezwaniem św. Stanisława Kostki.

W parafialnym kościele po przyjęciu go w ręce polskie nie było prawie niczego. Sprawiono w międzyczasie trzy ołtarze nowe. Piękna jest kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej. Sprawiono paramenty, obrazy, chorągwie, konfesjonałów cztery.

Obecnie do obsługi w terenie są jeszcze dwa kościoły: w Mazowie i Cigacicach.

Pierwszym kapłanem polskim na terenie Sulechowa był ks. Koralewski, obecnie jest on w Kramsku Nowym. Był w Sulechowie krótko. Po nim proboszczem został w r. 1945 ks. Michał Kaczmarek i dotąd prowadzi prace nad dusz zbawieniem.

Konieczne chciałby mieć jeszcze jednego księdza do pomocy. Cóż, kiedy tych księży bardzo mało.

Praca parafialna rozwija się pięknie. Pogłębiają życie religijne parafian co roku urządzone rekolekcje. Głębszą orkę stanowiły misje, przeprowadzone z wielkim powodzeniem przez XX. Misjonarzy z Krakowa w roku 1947.

W roku następnym było odnowienie misji, które przypominało wiernym ich obowiązki wobec Boga i ludzi.

Przed kościołem parafialnym w Sulechowie jest piękna grota Matki Boskiej ufundowana przez rzemieślników sulechowskich. W maju parafianie często modlą się tutaj do Matki Boskiej i zapalają świece ku chwale Bogarodzicy. Nieraz długo w noc płoną tu świece.

Ludność pochodzi z różnych stron Polski.

Odjechałem z Sulechowa w miłym nastroju. Wywołał go proboszcz dobrym wyrażaniem się o swoich parafianach. (G)

USTRONIE MORSKIE

Parafia Ustronie Morskie graniczy z naszym polskim morzem. Kościół tuż obok niezmiernych wód Bałtyku. Zaledwie jakie 50 metrów oddziela go od szumiących fal morza. Uroczu tu i pięknie. Szczególnie pięknie jest w porze letniej, to też nie dziw, że do uroczej miejscowości ciągną w ciepłe dni całe masy ludności, aby tu odpocząć, aby wzmocnić zdrowie morskimi kąpielami, aby nasycić duszę pięknem wód. Potrafią urzekać serca ludzkie, umieją w sobie rozkochać. Przeto w Ustroniu gwaro jest w ciepłe dni lata. Wczasowiczów nigdy nie brak w sezonie. Przyjeżdżają z całej Polski. Dziś są to przeważnie robotnicy i urzędnicy. Pensjonaty wszystkie poprostu pękają od natłoku miłośników morza. Przez Ustronie przepływa każdego roku do 7 tysięcy obcych ludzi, szukających nad morzem wypoczynku i piękna.

Parafia Ustronie Morskie powstała w r. 1945, gdy Zachodnie Ziemię na zawsze wróciły do Macierzy. Pierwszym księdzem, który kładł podwaliny pod parafię był O. Sylwester Polek, kapucyn. Jego dzielnym następcą jest O. Skorupiński Zdzisław, imię zakonne — Michał. Kapłan ten, jak

wielu innych kapłanów, przeszedł całą ge-
henną wojnę i poniewierki. Pięć lat był
w obozie w Dachau. Przecierpiał całe brze-
mie polskiego i kapłańskiego krzyża. Wy-
szedł żywy, ale zdrowie ma mocno nad-
szarpnięte. Mimo to służy Bogu i Polsce po
kapłańsku, jak tylko umie najlepiej.

Zakonnik ten z prowincji warszawskiej
OO. kapucynów przybył do Ustronia w lip-
cu 1948 r. W pracy pomaga mu jeszcze jeden
z ojców.

Dusz liczy parafia do 3000. Kościołów jest
do obsługi trzy. Poza parafialnym jest kościół
w Smiechowie i Rusowie. We wszystkich
trzech kościołach są każdej niedzieli
nabożeństwa. Jest na terenie parafii jeszcze
jeden kościółek, stary, zabytkowy, nie-
czynny.

Element ludzki parafii Ustronie wywodzi
się właściwie z całej Polski.

Sam kościół parafialny jest zwykłym kościół-
cem protestanckim. Po objęciu go w
reżymie katolickim, trzeba było dostosować go
do katolickich form życia religijnego. Wojna
nie zniszczyła go. Jest pod wezwaniem Pod-
wyższenia św. Krzyża.

Stanął obok ołtarz główny i z takiego
budulca ołtarz boczny Matki Boskiej. Spra-

wiono wielką pasję na ścianie ponad głów-
nym ołtarzem. Urządzono kompletnie za-
krytą.

Kościół filialny też zachował się całe.

Praca religijna w parafii. Ojcowie
troszczą się, by w duszach żył Bóg, by była
w parafii znajomość praw Bożych, aby
wzrastała i krzepła w duszach wiernych
miłość ojczyzny, mająca głębokie oparcie
w miłości ku Bogu.

Dla pogłębienia życia religijnego odpra-
wiane były rekolekcje.

Trzeba przyznać, że liczne rzesze wczaso-
wiczów garną się również do kościoła. Na
porę letnią kościół w Ustroniu jest stanowi-
czo za mały. Wczasowicze w żaden sposób
nie mogą się pomieścić na nabożeństwach.
Zeby zaś mogli zadość uczynić obowiązkom
katolickim wysłuchania Mszy św. ksiądz
proboszcz ustawia koło kościoła całe rzędy
ławek. W czasie tych nabożeństw świątynia
w Ustroniu wygląda bardzo oryginalnie.
Przypomina ul. oblepioną wokół pszczołami.
Głos pieśni kościelnych, śpiewanych na na-
bożeństwach leci daleko po falach morza.
Z modlącym się ludem, modli się polskie
morze. Przez cały sezon letni urządzany jest
codziennie w porze wieczornej pacierz dla
wczasowiczów. Przychodzą licznie.

Ludność parafii w masie rolnicza. (G)

— Prezes stowarzyszenia katolickich ar-
tystów w Japonii, Łukasz Hasegawa przy-
był do Rzymu, aby wykonać freski w stylu
japońskim w nowym kościele w Civita-
vecchia, poświęconym 26 męczennikom ja-
pońskim. Przywiózł z sobą wielkie rulony
malowideł japońskich makimono, przedsta-
wiających ważniejsze sceny z historii Ko-
ścioła w Japonii. Ma je wręczyć Papieżowi.

— Najstarszy modlitewnik w Japonii.
Z Tokio donoszą, że w jednej z księgarni
znaleziono przypadkowo kilka kartek naj-
dawniejszego modlitewnika katolickiego,
wydrukowanego w Japonii. Jest to tłuma-
czenie na ówczesny język japoński mo-
dlitw: Ojciec nasz, Zdrowaś Maryo, Wierzę
w Boga itd. Kartki te, będące prawdopo-
dobnie jedynymi z pierwszych druków ja-
pońskich w ogóle, zostały wydrukowane
przez misjonarzy katolickich na wyspach
japońskich.

— Zgon pisarza katolickiego. W Le Te-
ouet zmarł przedwcześnie, bo w wieku 43
lat jeden z najwybitniejszych powieściopi-
sarzy katolickich Francji doby współczesnej
— Maxence Van der Meersch. Wychowany
w środowisku religijnie obojętnym, nawra-
ca się w 1937 r. na katolicyzm, oddając swe
zdolności całkowicie służbie dla prawdy
katolicyzmu. W swych powieściach ukazy-
wał zło, niesprawiedliwość i krzywdę, od-
krywał zawsze pagą, choć nieraz trudną do
zniesienia prawdę. Niektóre z dzieł Van der
Meerscha zostały przetłumaczone na język
polski.

— Ołtarz Wita Stwosza wraca do Kościoła
Mariackiego. Ołtarz Wita Stwosza po odre-
stauroowaniu i odzyskaniu oryginalnych
barw polichromii z XV wieku wzbudza za-
chwyty na wystawie wawelskiej. Archiprez-
biter kościoła Mariackiego, ks. infułat dr
Ferdynand Machay, oświadcza, że w naj-
bliższym czasie przewieziony będzie pod
fachową opieką do kościoła i zaraz rozpocz-
nie się jego zestawianie. Będzie to wyma-
gało wiele mozołu i prace te potrwać wiele
miesięcy. Pracą tą kierować będzie archi-
tekt A. Krzyżanowski wspólnie z znakomitym
odnowicielem ołtarza, konserwatorem
państwowym prof. M. Słoneckim. Słynna
polichromia Matejkowska, której groziła
skutkiem zawilgożenia zagłada, jest już od-
nowiona i zabezpieczona. Odręstaurowano
też szereg kaplic. Przystępuje się do utrwa-
lenia polichromii Wł. Tetmajera w jednej
z kaplic. Ks. dr Machay oświadczył, że na
odnowienie ołtarza rząd Polski Ludowej
wyasygnował sumę 16 milionów złotych,
parafia zaś przyczyniła się kwotą około 3
milionów złotych (w starej walucie). Nadto
rząd subwencjonuje wspaniałe, pomnikowe,
kilkuletnie wydawnictwo z planszami
dzieła Wita Stwosza. Odsłonięcie ołtarza
połączone będzie z uroczystościami.

— Nowość w starej dzwonnicy. W starej
czcigodnej dzwonnicy przy kościele para-
fialnym w Łące zawieszono w grudniu
ubiegłego roku dwa nowe dzwony. W dniu
8 grudnia dokonano aktu poświęcenia no-
wych dzwonów, jednego ku czci św. Marii
Goretti, drugiego ku czci św. Dominika
Savio. W ten sposób parafia św. Mikołaja
w Łące uczciła najmłodszych świętych ka-
nonizowanych w roku jubileuszowym. Sta-
ra, zabytkowa dzwonnica sięgająca średnich
wieków ożyła na nowo dwudziwkiem naj-
młodszej męczennicy oraz najmłodszego
wyznawcy w pocie świętych Pańskich.

W 50-tą rocznicę śmierci Giuseppe Verdi

W roku 1901 zmarł Józef Verdi, kompo-
zytor wielu słynnych oper muzycznych. U-
rodzony w r. 1813 w Parmie (półn. Włochy),
całą swoją twórczość muzyczną poświęcił
Verdi — nie licząc utworów z wczesnej
młodości które później spalił, oraz jednego
Requiem — dramatom muzycznym (ogó-
łem 30), które zdobyły mu sławę wszech-
światową, a wiele z nich, jak: Aida, Rigo-
letto, Traviata, Trubadur po dziś dzień gra-
ne są na wszystkich scenach operowych.
Po Bellinim, Donizettim i Rossinim, Verdi
kontynuował tradycję oper włoskich, do
których czerpał tematy z literatury kla-
sycznej i romantycznej (Szekspir, Schiller,
V. Hugo, A. Dumas), wprowadzając ele-
menty wybitnie dramatyczne, teatralne, co
było pewnego rodzaju nowością, ewolucją
w muzyce włoskiej. Dzisiaj krytycy mu-
zyczni mają co do wartości tej muzyki zda-
nia podzielone, stawiając muzyce inne wy-
magania, wysuwając jej pewne zarzuty.
„Poszukiwanie za sytuacjami silnie wzru-
szającymi a nawet wstrząsającymi, kult
krzyków i gestów udających wielkie na-
miętności, chęć zadziwienia słuchacza e-
fektami coraz bardziej silnymi” — oto co
pisał jeden z francuskich krytyków na te-
mat muzyki włoskiej XIX wieku. Zarzuca
się więc i Verdiemu zbyt wiele dramatycz-
ności, zbyt wiele teatralności. W epoce naj-
większych sukcesów Verdigo żył i two-
rzyli swe dzieła kompozytorzy tacy jak:
Cezary Franck, Lalo, Chabrier, Gabriel
Fauré, Debussy. Utwory ich świadczące —
zdaniem dzisiejszych krytyków — o głę-
bszym sensie muzycznym, przy doborze bar-
dziej surowych środków wyrazu, przyjęte
były przez ówczesną publiczność bardzo
chłodno, jeśli nie wręcz niechętnie. Dziś
opinia świata muzycznego odwróciła się na
ich korzyść. I w 50-tą rocznicę śmierci G.
Verdiego krytyka muzyczna ze szczegól-
nym uznaniem wyraża się o jednym u-
tworze symfonicznym Verdigo — wspom-
nianym wyżej Requiem, który napisał on
pod wpływem swoich własnych przeżyć.

po śmierci jednego z przyjaciół, przyczem
uważa się, że obok kilku scen z oper, wła-
śnie to Requiem najbardziej przyczyni się
do zachowania sławy Verdigo u potom-
ności.

Kościół i świat

— Uniwersytet w Lowanium. Z okazji
zbiórki na Katolicki Uniwersytet w Lowa-
nium (Louvain) w Belgii ogłoszono szereg
danych, dotyczących tej znanej szeroko
uczelni. Studiują na niej ponad 8 tysięcy
słuchaczy, którzy pochodzą z 40 różnych
narodowości. Uniwersytet lowański korzy-
sta także z subwencji państwa, choć utrzy-
muje się głównie z opłat studeckich i fun-
duszów złożonych przez katolików.

— Pięć nowych kościołów buduje się ob-
nie w Łodzi. Budowę kościoła Najświęt-
szego Serca Pana Jezusa na Julianowie roz-
poczęto w 1947 r. Przez następne lata wy-
ciągnięto mury do wysokości 10 metrów.
Nowa świątynia wybudowana będzie w sty-
lu romańsko-renańsowym i pomieści
6.000 wiernych. Długość nawy głównej o-
siągnie 58 m. Położona w parku i otoczona
zielenią świątynia ta będzie jednym z naj-
piękniejszych kościołów łódzkich.

— Z Bejrutu donoszą, że arcybiskup Gan-
dur, jakobita sekty monofizytów syryjskich,
przeszedł ostatnio na łono Kościoła katolic-
kiego. Arcybiskup Gandur liczący 69 lat
oświadczył, że w ostatnim czasie gminy ja-
kobićkie na tym terenie napotykały na
wielkie trudności natury duchowej.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8-9.

P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Włkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 768 — 5. 51.

K-2 — 17053 — 11. 6. 51. Druk ukończono 14. 6. 51.